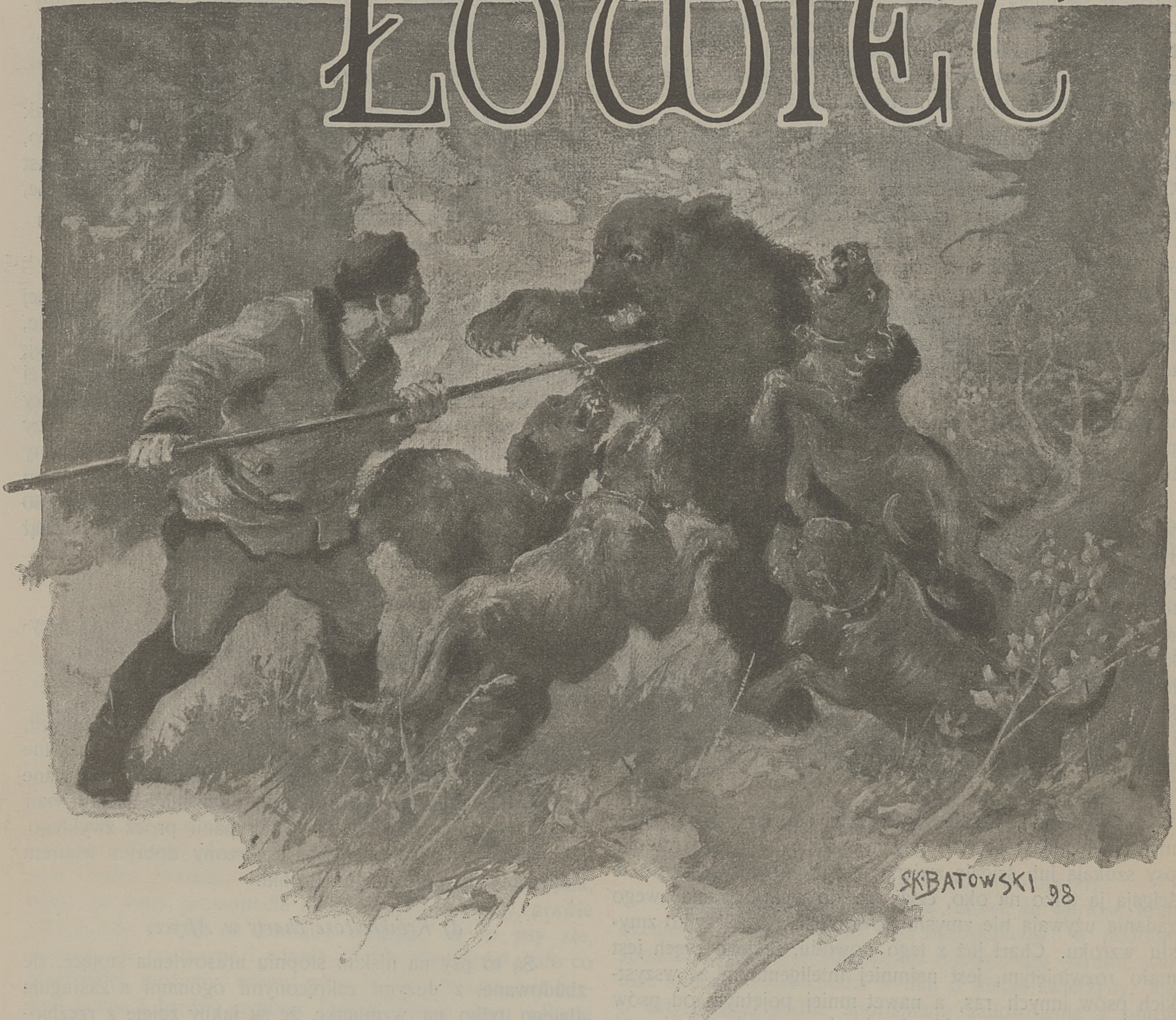
Nr. 15. Lwów, 1. sierpnia 1904. Rok XXVII.

ŁOWIEC



Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

CHART.

Chart, to najstarsza na świecie rasa nietylko psów myśliwskich, ale wogóle wszystkich psów domowych. Podobiznę charta spotykamy na pomnikach assyryjskich i rzeźbach grobowych egipskich Faraonów. Były to widać psy z długimi szpiczastymi pyszczkami, stojącemi prosto uszami, i z zakręconymi, jak u naszych kundysów, ogonami. Nie były to więc charty szlachetne w dzisiejszem słowa tego znaczeniu, ale był to prawdopodobnie pierwszy stopień uszlachetnienia psa domowego, czyli, były to pierwsze psy rasowe. Nie należy jednak sądzić, że ten chart z czasów staroegipskich był protoplastą późniejszych i dzisiejszych ras charcich. Nie! Mamy niewątpliwe dane, że ludy w starożytności nigdy nie starały się obcych ras psów u siebie aklimatyzować, jak również wiemy i to, że te rasy nie raz już bardzo uszlachetnione, z upadkiem narodów, które je hodowały, ginęły wraz z nimi bezpowrotnie. Zresztą takiego charta, jakiego widzimy na rzeźbach z czasów Faraonów, spotykamy i dzisiaj jeszcze u ludów afrykańskich, co jest dowodem, że ten chart stary nie był założycielem swojej rasy a tylko zwykłym psem domowym, będącym w pierwszej fazie urasowienia.

Inne ludy starożytne, jak Grecy i Rzymianie mieli, co prawda znacznie później, już bardzo szlachetne rasy chartów, jak o tem wspomina w sławnej swojej „Kinegetyce" pisarz grecki, Flavius Arrianus, około r. 100 po Chrystusie. Były to psy hodowane głównie przez ludy celtyckie, małe, używane do łowów na mniejszą zwierzynę. Później, po upadku Rzymu, widzimy u ludów germańskich charty rosłe, silne, używane na jelenie i wilki a nawet

w łowach z sokołami na żórawie i dropie. U Rzymian nazywał się chart: veltrahus, w księgach praw ludów germańskich i gallickich spotykamy nazwę charta: veltrus leporalis, argutarius, albo veltraus, później w Niemczech nazywał się chart: wind, we Francyi, lévrier d'attaque, w Anglii swift hound, albo greyhound.

Nigdzie tak nie kwitnęła hodowla tych psów w wiekach dawnych, jak w Anglii i na wyspach brytyjskich w ogóle. Chart był nieodstępnym towarzyszem szlachcica. Polowano tam z nim na wszelką zwierzynę czworonożną, nawet na reny! Od XVII. wieku począwszy do dziś dnia odbywają się w Anglii formalne wyścigi charcie (Coursing), przy których chodzi li tylko o współzawodnictwo między właścicielami psów. O takich wyścigach słyszymy już za czasów Henryka VIII. a za jego córki, królowej Elżbiety, zabawy te były w największej modzie. Dzisiaj funguje w Anglii „National Coursing Club“, który corocznie takie wyścigi urządza a najwyższa przezeń ofiarowana nagroda „Waterloo pocal“ jest tem samem, czem przy wyścigach konnych, niebieska wstęga Derby.

U nas, w przedrozbiorowej Polsce, chart miał także wielkie znaczenie a na naszych ukraińskich stepach i wołyńskich i podolskich równiach, wielkie pole do popisu. Nie było szlachcica, któryby nie posiadał bodaj pary chartów, wyżła i sokoła! Były u nas trzy gatunki chartów w używaniu i tak: był najpierw chart domowego chowu, krótkowłosy, rozmaitej maści, pies doskonały, często w pojedynkę szaraka najszybszego biorący, był chart wołoski, kudłaty, rosły, w południowych województwach na wilki i lisy używany, był wreszcie chart krymski, wysoko ceniony, czarnej lub popielatej maści, krótkowłosy, od Tatarów sprowadzany.

Znamienną, zasadniczą cechą chartów, jako psów myśliwskich jest to, że, gdy wszystkie inne tego rodzaju psy szukają lub ścigają zwierzynę zapomocą węchu, to te ścigają ją tylko na oko, czyli, że do wykonywania swego zadania używają nie zmysłu powonienia, lecz li tylko zmysłu wzroku. Chart już z tego powodu, że jego węch jest mało rozwiniętym, jest najmniej inteligentnym ze wszystkich psów innych ras, a nawet mniej pojętnym od psów nierasowych i jako taki nie da się w regule do niczego innego użyć, jak do ścigania uciekającej na otwartem polu zwierzyny.

Budową swego ciała różni się chart wybitnie od psów wszystkich innych ras. Wyższy od wyżła, gibki, cienki, na wysokich, suchych nogach, o bardzo długim, cienkim i ostro zakończonym pyszczku, małych na pół zwisających i odstających uszach, o długim ogonie, zdaje się być uosobieniem chyżości i wytrwałości w gonie.

Co do podziału chartów na rasy, to rzecz ta ze stanowiska kinologa przedstawia pewne trudności, gdyż każdy naród wychował dla siebie specyalne ich gatunki, których też u siebie wyłącznie używa. Charty są więc, że się tak wyrazimy, narodowe, lokalne, a chartów kosmopolitycznych nie ma. Pointery n. p. są rasą angielską, ale dzisiaj na całym globie rozpowszechnioną, więc uniwersalną. Z chartami rzecz inna! Pożegnawszy się ze stepami, rozciągniętymi między Wołgą a Dnieprem, pożegnamy się również z przepysznymi długowłosymi Barzojami. Przybywszy do Anglii, po raz pierwszy poznamy tam angielskie „greyhound'y i whippet'y“. We Włoszech spotykamy li tylko charty włoskie, w Hiszpanii hiszpańskie, słowem, znane przysłowie: „co kraj, to obyczaj“, możnaby w tym wypadku przemienić na: „co kraj, to chart“. Ze stanowiska łowieckiego można podzielić wszystkie charty całego świata na trzy grupy: I. krótkowłose, II. szorstkowłose, III. długowłose.

I. Charty krótkowłose.

Każdy prawie kraj ma swego charta. Są to jednak przeważnie rasy, nie mające w sobie nic indywidualnego, szczególnego, o nich więc mówić nie będziemy, natomiast godne wzmianki są do tej grupy należące rasy angielskie, niektóre włoskie i hiszpańskie a także rasa afrykańska.

a) The Greyhound.

Jestto pies smukły, średniej wielkości, maści czarnej lub czerwono-żółtej, czasem czarno-żółtej o długiej głowie, bardzo między małemi w tył posuniętemi uszami, szerokiej. Waga jego nie powinna przekraczać 35 kg. Sławnym z tej rasy był szkocki Master Mac Grath Lorda Lugana, który w 37 wyścigach wygrał 36 razy, między tem trzy razy sławny puhar Waterloo. W r. 1868 był on przyprowadzony królowej Wiktoryi do Windsoru. Drugim takim fenomenem był Fullerton, kupiony przez pułkownika Northa za 850 f. szt. Wygrał on w 31 wyścigach i również 3 razy wziął sławny puhar.

b) The Wippet.

Jestto rasa nowa, utworzona przez krzyżowanie greyhounda z terrierem, używana do polowań na króliki.

c) Krótkowłose charty we Włoszech i Hiszpanii.

Charty włoskie nie wyodrębniają się niczem od innych, są jednak na niektórych wyspach włoskich dwa szczególne ich gatunki, mianowicie „Cirneca“ i „Ventrada“. Używane bywają do polowań jako ogary, gdyż mają niezły wiatr i głosem gonią. Tak samo i w Hiszpanii prócz zwykłego, jest jeszcze chart „Rodengo“, opatrzony dobrym wiatrem i używany do polowań na króliki.

d) Krótkowłose charty w Afryce.

Są to psy na niskim stopniu urasowienia stojące, źle zbudowane, z dużymi zakręconymi ogonami a zasługują dlatego tylko na wzmiankę, że są jakby zdjęte z rzeźbionych grobowców staroegipskich, tak całym swym wyglądem tamte przypominają. W Egipcie spotykamy jednak także bardzo rasowego charta „Sloughi“, hodowanego przez Arabów. Jestto pies maści szarożółtej i budową swoją przypomina charta angielskiego.

II. Charty szorstkowłose.

We Francyi i Niemczech egzystowała ta odmiana już w wiekach średnich pod nazwą kurlandzkiej. Dziś nie ma z niej śladu. Natomiast w Wielkiej Brytanii kwitnie ona obecnie w 4 rasach.

a) The Scotch Greyhound.

Jest to odmiana ang. charta krótkowłosego, jako rasa chartów może najstarsza w Europie, bo opisywana już przez wspomnianego tu już Arriana w r. 100 po Chrystusie.

b) The Highland Deerhound.

Są to psy bardzo szlachetne i odróżniają się od innych chartów dobitnie silną, muskularną i harmonijną budową i czerwonawo szarą maścią. Używane dawniej w lesistych i skalistych górskich okolicach Szkocyi w łowach na

sarny i jelenie, dzisiaj hodowane tylko, jak wszystkie charty w kraju Albionu, do wyścigów. Są to psy w Szkocyi do dziś dnia wprost ukochane! Bard Ossian śpiewał o nich w III. wieku pieśni, Walter Scott pisał o nich w swych powieściach a malarz Landseer uwieczniał je na swoich płótnach! Możnaby powiedzieć, że rasa deerhoundów jest z romantyką szkocką nierozerwalnie spojoną! Od r. 1892 egzystuje tam „Deerhoundclub“, który wyłącznie tą szlachetną rasą się opiekuje.

c) The Irish Wolfhound.

Do połowy VIII-tego wieku polowano z tymi chartami w Irlandyi na wilki. Nasz August II. polował z nimi w Polsce. Później wyginęła ta rasa zupełnie, aż dopiero przed 20 laty wskrzeszono ją napowrót w Anglii zapomocą rozmaitych krzyżowań. Są to psy bardzo silne i rosłe, maści popielatej.

d) The Lurcher.

Rasa ta powstała z krzyżowań szorstkowłosego charta z psem owczarskim, szkockim (Collie). Psy te mają szczególną zdolność ścigania zajęcy i królików w krzakach i pędzenia ich do rozstawionych na nie sieci.

III. Charty długowłose.

Przedstawicielkami tej grupy są właściwie tylko dwie rasy t. j. rosyjska i azyatycka. Inne odmiany, jak kurdyjska, są zamało nam jeszcze znane, byśmy je jako osobne rasy traktować mieli.

a) Rosyjski chart długowłosy.

(Barzoj).

Jest to pies wspaniały, rosły, silny, o nadzwyczajnie cienkiej i długiej głowie, pokryty długim jedwabistym włosem, maści brunatno-żółtej lub białej z żółtymi płatami, ogon ma długi, prostopadle noszony, chorągwiasty, prawie nieznacznie w dole na zewnątrz wygięty. Są to psy złe, ponure, ale posłuszne i wierne. O ich przeszłości mało co powiedzieć możemy, wiemy tylko to, że ich rasa jest bardzo dawną i bardzo cenioną. Dzisiaj jeszcze płacą w Rosyi za Barzoja od 400 do 1000 rb.

b) Azyatycki chart długowłosy.

(Tazi).

Są to psy hodowane na równinach środkowej Azyi, spotykane także w północnej Afryce. Odróżniają się tem od wszystkich innych ras charcich, że mają bardzo długie, kudłate, prawie do wysokości łopatek zwieszające się uszy. Sierć, pokrywająca korpus, jest krótka. Psy te robią na widzu oryginalne wrażenie. Ma się przed sobą niewielkiego, smukłego i zgrabnego, prawie krótkowłosego charta, maści lśniąco czarnej z białą plamką na nosie, rzadziej sarniej lub żółtej, z niesłychanie długiemi, długowłosemi, wiszącemi uszami.

Niesłychanie oryginalna ta rasa żyje w Azyi środkowej i tam na stepach kirgiskich, Chiwy, Buchary i Afganistanu szerokie ma pole do pracy. Polują z nimi na antylopy przy pomocy sokołów łownych.

Chart, jako pies myśliwski stracił już w Europie zupełnie na znaczeniu. W Anglii, chociaż hodowla jego tam kwitnie, używany bywa tylko do wyścigów, jako pies czysto sportowy. We Francyi ustawa zakazuje polować z chartami. W Niemczech i w innych krajach Europy mało się też już z nimi poluje. Wysoka kultura ziemi i łowiectwa, jak i broń dalekonośna wyrugowuje szybko charty z rzędu ras psów myśliwskich. Gdzieś jeszcze na bezbrzeżnych stepach nad Dnieprem i Wołgą i dalej hen za górami Uralu, tam, gdzie bujnej ziemi nie okiełzała jeszcze żadna kultura i ludność nie pokrajała jej w drobne, zbożem zasiane kwadraty, gdzie galopując na dziarskim, półdzikim, długogrzywym źrebcu depcze się tylko trawy i burzany, tam charty mają jeszcze prawo istnienia. U nas już chart, jako pies myśliwski, nie ma racyi bytu. *Albert Mniszek.*



Sokolnictwo we Francyi.

W ostatnim dziesiątku lat szlachetna sztuka sokolnictwa coraz żywiej się budzi z wiekowego snu i coraz to liczniejszych zyskuje adeptów.

We Francyi, może nawet więcej jak gdzieindziej, rozpowszechnia się ta szlachetna rozrywka. A nie jest to rzecz ani zbyt trudna, ani zbyt kosztowna. Dużo cierpliwości, trochę dobrej woli i kilka godzin dziennie wolnego czasu. Tyle potrzeba!

Sądzimy, że zainteresujemy czytelników *„Łowca“*, jeżeli im damy do przeczytania bardzo ciekawy i oryginalny artykuł pewnego Anglika, który podaje w nim wiele nauk i rad praktycznych, tyczących się sokolnictwa, a w końcu daje nam opis łowów z sokołem, jakich był świadkiem pod Paryżem.

Posłuchajmy więc co mówi Mr. Thompson:

Stare, francuskie przysłowie mówi, że wartość kraju ocenia się wedle wartości jego mieszkańców; w podobny sposób możnaby ze stanowiska estetycznego określić wartość sportu — nie chodzi w nim o ubicie zwierzyny, lecz o artystyczne, godne sportsmana zadowolenie z ubicia. Mogłeś zrulować odyńca, zaznać wielkiej radości z ubicia setki kuropatw, lecz twój żywot sportowy jest niekompletny dopóty, dopóki sokół wypuszczony z twej ręki, nie zdobędzie łupu w przestworzu.

Czy to będzie czapla, zrywająca się z bagien w departamencie Perche, czy też dzika gęś, przerzucająca się z północnego prądu wiatrów ku południu — w każdym razie ten moment, w którym sokół, posłuszny twej woli, spada na upierzonego nieprzyjaciela, jest najwięcej pobudzającym, jaki wogóle sportsman na szczęsnym angielskim terenie łowieckim — z wrażeń „z za kanału“ — znać może.

W żadnym kraju na świecie nie nastręcza się tyle sposobności dla sokolnictwa, w szczególności dla łowów z jastrzębiem gołębiarzem, co w Ameryce.

Zdobycz jest prawie nieobliczalna.

Nie tylko znajdują się tam wszystkie rodzaje ptaków, które może sokół napadać w locie, począwszy od dzikiej kaczki a skończywszy na kuropatwie i przepiórce, lecz są tam również króliki i zające, lisy i wilki, wszystko ponętna zwierzyna dla łowca-sokoła.

A dodatnią stroną sokolnictwa, najbardziej arystokratycznego sportu, będącego złotym zabytkiem z rycerskich czasów, jest okoliczność, że ono także w ekonomice gra

niepoślednią rolę. Jest ono takiem, jakiem wedle słów Baudelaire'a niebo być winno: taniem a przyjemnem. Kupno i utrzymanie sokoła kosztuje mniej, niż dobrego settera. A na codzienne polowanie nie potrzeba nadzwyczajnej zdobyczy.

Cztery lub pięć ptaków, jeden lub dwa króliki dają kilka godzin pełnego wrażeń polowania. Zato w chwilach większych wymogów potrzebujesz tylko wypuścić sokoła o długich skrzydłach, na orła, lub dropia.

Sądzę, że w przeciągu dziesięciu lat sokolnictwo rozpowszechni się w Stanach Zjednoczonych tak, jak stara, królewska gra „golf".

Przewiduję dzień, w którym najmit, postępując za pługiem wśród oranej niwy, będzie dzierżył zakapturzonego sokoła na kiści swej ręki, a zamożniejszy sportsman będzie się udawał na łowy konno, z psem, z lokajem u boku, zaopatrzony w złotą świstawkę i ze sokołem, pobrzękującym srebrnymi dzwoneczkami u nóg — jak to dawnymi czasy bywało.

Sport ten wskrzeszono już w Anglii i to z niebywałym sukcesem. Na kontynencie nie wygasł on bynajmniej. Mieszkańcy „Gace de la Bigne" nie uronili nic z wprawy, którą wyróżniali się w czternastem stuleciu, za czasów dobrego króla Jana. Zaiste, sokolnictwo stało się sportem śmielszym i bardziej skończonym, nie uraniając jednak nic ze swej feudalnej malowniczości.

Opisując sokolnictwo, obecnie uprawiane we Francyi, położę nacisk na jego praktyczną stronę, dzięki której każdy, który ma chęć potemu, może przy użyciu cierpliwości i wytrwałości układać i wypuszczać własne ptaki, lub też gdy chce, może odbywać łowy z sokołem, konno, przy pomocy psa. Rozumie się, że tak jak w każdej innej sztuce, są i w sokolnictwie fortele. Potrzeba lekkiej ręki, by sokołowi włożyć kaptur na głowę, a przytem nie nabawić go lęku, ani też nie podrażnić jego i tak wrażliwego usposobienia; również samo zawiązanie i rozluźnianie rzemyków nie jest wcale łatwem zadaniem. Lecz prawdziwem świadectwem dla dobrego sokolnika jest jego zręczność w odebraniu zdobyczy zażartemu zwycięzcy, po jej pozyskaniu przezeń. Potrzeba nie małej wprawy, by zdobycz zastąpić przynętą.

Wszystko to jednak nie przeszkadza, byśmy się sami nie uczyli sokolnictwa. Nieco gorliwości i sporo zdrowego rozsądku mogą zastąpić zawodową naukę.

Amator, który rozpoczyna wypuszczaniem sokoła na skowronki, może następnie używać go na wilki. A opłaci się spróbować.

Proszę mi wierzyć, że nie ma radości -- (nie mówię o radości, którą sprawia powrót marnotrawnego syna do domu, ani też o roskoszy, której doznaje papa, widząc, że jego latorośl dzielnie podtrzymuje tradycye rodowe, jako jeździec i myśliwy) — którąby się dała porównać z wykwintną satysfakcyą, jaką daje sokół upolowaną w wysokich przestworzach zdobyczą. Kula to ślepy przedmiot, który zabija, lecz wasz sokół, przypuszczam, że dobrze przez was wychowany, to gentleman. On okrąża swą zdobycz i pauzuje, jak gdyby pozostawiał nieprzyjacielowi wybór dogodnej pozycyi „à vous l'honneur" i wtedy walka się poczyna.

„Przedewszystkiem postarajcie się o sokoła!"

We Francyi nabycie dobrych ptaków nie nastręcza trudności. Wybieranie gniazd, łowienie i zaprawianie sokołów do łowów jest tam takiem zajęciem, jak którekolwiek inne. Lecz od dawien dawna najlepsze ptaki pochodziły z małej wiosczyny „Walkeenswaard", z północnej Brabancyi. Ptaki, przeznaczone do upolowania zdobyczy, dzielą się ogółem na dwie gromady: sokoły o długich skrzydłach („rameur") używane do wysokiego wzlotu, tudzież krótkoskrzydlne („voilier"), do niskiego lotu, na zwierzynę biegnącą po ziemi.

Długoskrzydlny sokół, to sokół raróg. On wzbija się nad zdobycz a następnie spuszcza się ponad nią, w kierunku więcej, lub mniej ukośnym. Jeżeli manewr mu się nie powiedzie, przybiera ponownie to samo położenie a wtedy walka może trwać cały dzień i odbywać się w przestrzeni dziesięciomilowej. Jest ona jakby spotkaniem dwóch wytrawnych graczy; cięcia i parady są formalne i rycerskie, niemniej jednak fatalne. Sokół wędrowny czyli szlachcic, jest prawdziwym typem ptaka do powietrznego sportu.

Jastrząb gołębiarz jest do niskiego lotu. Jest on prostym, pospolitym ptakiem, lecz nadzwyczaj użytecznym. Można go wypuszczać na kuropatwy i bażanty, chociaż lepszym jest przy zwierzynie w biegu. Skoro tylko ujrzy biegnącego zająca, lub królika, leci wprost ku zdobyczy; jeżeli spudłuje, wraca z gniewem do ręki pana i wyczekuje nowej sposobności.

Jest pewnym, mocnym ptakiem a w Anglii sokolnictwo tylko nimi się posługuje.

Młode ptaki należy brać na wiosnę, gdy są dobrze upierzone i mają opuszczać gniazdo. Wyrosłe ptaki, albo nieoswojone sokoły, złowione w jesieni, trudniej przyuczyć i z reguły wcale się lepiej nie nadają. Samce są lżejsze, mniejsze, żywsze i mają więcej odwagi; liczni sokolnicy jednak wolą samiczki — zwłaszcza, gdy chodzi o łowy na ptactwo — gdyż samiczka jest więcej ociężała, silniejsza i posłuszniejsza.

Skoroś pozyskał sokoła, czy to wędrownego, lub orlę, czy też gołębiarza, lub sokoła białozora, należy natychmiast rozpocząć naukę.

Do tego potrzebne są niektóre przybory, wcale nie liczne, ani też skomplikowane, lecz nieodzowne.

Przedewszystkiem są potrzebne małe rzemyki z delikatnej skóry. Rzemyki te wiąże się u „obuwia" ptaka, tuż nad miejscem, gdzie się łączą palce. Luźne końce rzemyków przeciąga się przez pierścień tak, abyśmy mogli sokoła trzymać, względnie wypuścić. Potem następuje kapturek, najważniejszy i najbardziej charakterystyczny z sokolniczych przyborów. Kaptur sporządza się zwykle z trzech kawałków psiej skóry, razem zszytych, tak, by włożony na głowę ptaka, nie przepuszczał światła.

W kapturze robi się otwór na dziób, by ptak zakapturzony mógł przyjmomać pożywienie. Kaptur ma w sokolnictwie takie znaczenie, jak wędzidło i uzda przy trenowaniu — one są początkiem i końcem nauki. Ptak, mający przynieść zdobycz, jest równocześnie zapalczywy i bojaźliwy; a szczególnie nabawia go lęku jakiś niezwykły widok. Gdy jest zupełnie ciemno, jego czynny, mały mózg pogrąża się w błogiem uczuciu zadowolenia.

Podczas trwania nauki nie można nie zakapturzonego sokoła nawet z pokoju do pokoju przenieść. Tylko nocą można sokołowi zdjąć kaptur. Wtedy powinien być trzymany na taśmie (pęcy) w jakiemś odosobnionem miejscu, na łące lub w polu, a taśma (pęca) powinna być tak długa, by mu dozwalała poruszać się swobodnie naokoło drążka. W czasie burzliwych nocy powinien mieć berło, grubości pięści człowieka, umieszczone trzy stopy nad ziemią, w spokojnej, ciemnej ubikacyi. Lecz właściwe berło sokoła, to

pięść jego pana, ujęta w rękawicę. Do pierwszej lekcyi należy włożenie kaptura, zadaniem drugiej jest, by sokół nieruchomo siedział na kiści ręki, którą szponami do połowy obejmuje, podczas gdy nauczyciel trzyma w palcach rzemyki; trzecia lekcya polega na przyuczeniu sokoła, by przyjmował pożywienie li tylko z ręki w rękawicy — oto wszystko. Zdawałoby się, że to nie łatwa sprawa, lecz każdy, ktokolwiek miał do czynienia z ptakami lub z psami, wie, że tu chodzi tylko o nieco cierpliwości i wytrwałości. Umieszczasz ptaka na ręce, lecz on zlatuje; całkiem spokojnie ściągasz rzemyki i masz go napowrót; i to samo powtarzasz ponownie i znowu i raz jeszcze, dopóki się nie wyuczy. Zajęcie to wymaga poświęcenia wielu, wielu godzin codzień. Przytem należy, ile możności, unikać dotknięcia ptaka gołą ręką. Uznanie można wyrazić, głaszcząc jego grzbiet piórem. Gdy nauczył się brać pożywienie — kawałki surowego mięsa lub drobiu — z ręki, nauka jest na dobrej drodze. Wtedy trzeba go przyuczyć do brania przynęty. Przynęta ta dla sokoła na ptactwo — to kawał drewna, pokryty skrzydłami gołębia. Dla sokoła na zwierzynę, pokrywa się drewno króliczą skórką. Mięso przymocowywa się do przynęty i potrząsa się niem, dopóki sokół nie nauczy się rzucać na nie. Z czasem ptak nabędzie wprawy i będzie się rzucał na odległość około 50 jardów (yard = 91 cm.) i zawsze powróci do ręki, tak, że można go będzie bezpiecznie wypuszczać. Ptakowi będzie się teraz roiło w jego małym, ciemnym mózgu, że tylko dwie rzeczy interesują go na świecie — twoja ręka w rękawicy i przynęta. Następnie pozostaje tylko rzucić mu żywego gołębia, zamiast przynęty, a edukacya jego skończona.

Przywiąż mu mały dzwonek do nogi, byś go mógł słyszeć z daleka, a misya twoja spełniona. Metodę tę można także zastosować do wszystkich ptaków myśliwskich, począwszy od jastrzębia na wróble, do idealnego łowca: orła. Wprawiony sokół, jakkolwiek byłby ograniczony, różni się o tyle od swego dzikiego brata, ile koń wyścigowy od dzikiego źrebca. Wypuszczony na zdobycz — wydobywa cały zasób swych sił. Jego lot to wyścig, o którym dziki jastrząb nie ma wyobrażenia.

Rozumie się, że ptaka należy dobrze i odpowiednio karmić. Najlepszem pożywieniem jest surowa wołowina. Raz lub dwa razy na tydzień należy wołowinę zastąpić surową baraniną, cielęciną, drobiem lub jakąkolwiek zwierzyną. Sokołowi należy podawać pożywienie raz na dzień, o pewnej stałej godzinie.

Pouczenie to o tresowaniu sokołów, jakkolwiek nie wyczerpujące, powinno wystarczyć temu, kto, jak mawiali nasi przodkowie, chce rozpocząć sokolnictwo.

O milę na wschód od Paryża — połać uprawionego pola poza zalesionym pagórkiem; na brzegu pagórka, niepozorny jednopiętrowy dom, o szerokich drzwiach i oknach, to sokolarnia.

Na berle pod topolami marzył zakapturzony sokół. Dwa inne, „tiercelet“ o czarnym czubie i samica wędrownego gatunku, siedziały na swych blokach. W drzwiach siedział sokolnik i piórem głaskał kapryśne ptasze plemię. P. Montigny wyszedł na nasze spotkanie ze sławnym sokołem „Attylą“ na ręce. W ciemnościach swego kaptura sokół był niemy i bez ruchu. Ani jedno pióro na jego kapturze nie zadrgało; srebrny jego dzwoneczek nie wydał dźwięku. Ciemność zahypnotyzowała ptaka.

„Dzionek się rozjaśnia, powiedział nasz gospodarz, pora nie najgorsza na sokole łowy, nie lubię tylko za wiele słońca“.

Niebo było szare, a nieznaczne białe obłoczki toczyły się po niem; wiatr był ostry, północny. Zaraz ruszamy, dodał p. Montigny, przy takiej pogodzie nie można za wcześnie wyjść na kuropatwy. Czyś gotów, Jakubie? Jakub, to sokolnik, silny, smagły mężczyzna, małego wzrostu, lat około trzydziestu. Wysunął nad głowę ramę do niesienia sokołów, przytrzymując ją przy piersi, a która mimo to wychylała się to naprzód, to w tył, jak drabina.

Na ramie tej umieścił trzy ptaki — Attylę, Xantypę i Nerona. Wszystkie trzy były to wędrowne sokoły. Właściciel sokolarni zaświstał na starego settera. Był to zmyślny pies o rdzawej sierci. Przez chwilę przypatrywał się sokołom okiem znawcy. Gdy poznał starego przyjaciela, Attylę, zaszczekał donośnie na dzień dobry. Na ten sygnał ruszyliśmy. Po dziesięciu minutach drogi po czysto utrzymanym gościńcu, przeszliśmy kawał ścierniska, zwracając się ku miejscu, gdzie płoty schodziły się pod kątem prostym. Po za niem było świeżo zorane pole, na którem tu i owdzie znajdowały się młode sadzonki drzew. Stary setter szedł naprzód systematycznie.

Powinniśmy iść blisko płotu, powiedział właściciel sokolarni, kuropatwy są chytre i swawolne w tej porze roku. Nie widziały psów ani strzelb przez sześć tygodni. One umieszczają straże dość daleko od stadka, lecz to dla łowów ze sokołem tem lepiej. Weźmiemy ich placówki. Wziął Attylę na rękę. Ptak był tak nieruchomy, jak uduszony na przynętę gołąb, który zwisał z ramy sokolnika. Teraz już wszystko odbyło się w szybkiem tempie. W tej samej chwili setter przystanął drżąc, a nasz gospodarz zdjął kaptur Attyli, co nie było łatwem. Kaptur był umocowany u tyłu głowy dwoma taśmami, związanemi w pętlicę. Ponieważ sokół był na prawej pięści, właściciel sokolarni pociągnął jedną taśmę lewą ręką, drugą zaś zębami; w sekundzie kaptur był zdjęty a Attyla siedział olśniony niezwykłem dlań światłem dziennem.

Nuże, leć rozbójniku!

Pies postąpił krok naprzód, nastąpił trzepot skrzydeł i kuropatwa zerwała się przeciw wiatrowi. Lot jej był prosty, przyspieszony, pełen wysiłku. Gdy się zerwała, wierna placówka, przesłała ostrzeżenie stadku; był to krzyk podobny do zgrzytu, który wydaje tępa piła, gdy uderzy o gwóźdź, lecz i Horacyusz przy moście nie był więcej bohaterski. Leciała jeszcze przeciw wiatrowi, gdy gospodarz nasz rozluźnił rzemyki i wypuścił sokoła.

Wiatr jest tak silny, tłómaczył, że zdobycz wzbije się dość wysoko przeciw wiatrowi, nim się zwróci, by z wiatrem lecieć. Gdybym był wypuścił Attylę wcześniej, byłby wpadł na kuropatwę w chwili, gdy zwracałaby się, by lecieć z wiatrem. W ten sposób byłaby rzecz skończona, gdyż kuropatwa, gdy się zwraca, by lecieć z wiatrem, zatrzymuje się nieruchomo przez sekundę i staje się beznadziejnie łupem. I rzeczywiście tak było. Ofiara skręciła w powietrzu i zaczęła płynąć z wiatrem, zanim Attyla wzniósł się do tej wysokości. Lecz zwrot sokoła był tak szybki, że zaledwie mogło go oko dostrzedz. Był on teraz wysoko nad łupem — jakby lecąca plamka na szarem niebie. Naraz spadł. Kuropatwa, mimo całej swej niezgrabności, leciała pewnie przed siebie. Skręciła w sam czas. „Dobry zwrot“, krzyknął nasz gospodarz.

Teraz rozpoczął się szereg napadów i wymijań. Sokół napadał, ofiara broniła się. W końcu Attyla wzbił się wysoko, był u szczytu dumy, jakby powiedział Shakespeare, u kresu swego zawodu, jak chce modna, sokolnicza gwara. Obecnie spadł z ukosa na ofiarę. Gdy uderzył, skończyło

się wszystko. Sokół i ofiara spadły razem na zorane pole. Kwiląc z rozwścieczenia, rozpiąwszy szeroko skrzydła, sokół tryumfował nad ofiarą. Gdy jednak rzucono mu przynętę, podleciał ku niej a następnie ku ręce, jak dobrze wychowany sokół. Kuropatwa żyła, gdyż sokół chwycił ją za grzbiet. Chętnie zamilczałbym o rodzaju jej śmierci, lecz choć jestem przyjacielem małego, smagłego sokolnika, więcej jednak kocham prawdę. Otóż — sokolnik podniósł z ziemi kuropatwę i... odgryzł jej małą główkę zębami.

Tak skończył żywot piękny ptak o czerwonej piersi i o podgardlu z czarnymi zygzakami — typowa kuropatwa o dwudziestu piórach w ogonie.

Zwróciliśmy się znów ku miejscu, gdzie płoty schodziły się pod kątem.

Kuropatwy, to ciekawe stworzenia; nawet po zaniepokojeniu nie rozpraszają się na wielką odległość. Zdaje się również, że mają własną filozofię.

Jedna placówka wzięta — wyrzekli gospodarz i sokolnik — bierzmy się do drugiej! Rozumie się, że gdyby placówka była ubita ze strzelby, byłyby się kuropatwy rozprószyły dalej po polu; lecz w sokole widzą coś zupełnie naturalnego, przed czem nie uczuwają obawy. Życie ich ograniczają dwa bieguny: poszukiwanie żeru i uchodzenie przed nieprzyjacielem, czynią zatem, co mogą: jedno oko mają utkwione w ziemi, drugie w obłokach. Jest to dość wygodna filozofia i dla ptaka i dla ludzi.

W odległości nie całych dziesięciu kroków od pierwszej placówki, ruszyliśmy drugą kuropatwę. Ja tymczasem wdziałem rękawicę i ochraniacz przegubu i stanąłem z Xantypą na ręce, choć nie całkiem było mi swojsko. Wybrałem ją, pochlebiając sobie, że umiem się lepiej obchodzić z płcią nadobną, niż z brzydką, a zapatrywanie to jest tak dobre, jak każde inne. Gdy zdobycz wzniosła się w górę, zacząłem po partacku rozwiązywać kaptur. Nie łatwo to wcale rozwiązać zębami taśmy kaptura, zresztą być może, że zdjąłem kaptur nie zbyt delikatnie. Jak było, tak było, dość, że gdy rozluźniłem rzemyki, Xantypa posterowała z wdziękiem ku topoli i ulokowała się na gałęzi, a kuropatwa poleciała, Bóg wie dokąd. Rudawy pies rzucił okiem na Xantypę, spojrzał przelotnie na mnie i położył się zniechęcony na ziemi. Kapryśne białogłowe plemię nie chciało pożegnać gałęzi. Napróżno rzucaliśmy jej przynętę. W końcu podaliśmy ją ptakowi na długiej żerdzi i Xantypa raczyła zlecieć.

Nasz gospodarz stracił humor. Sam wdział jejmości kaptur na głowę i umieścił ją na ręce. Pomrukiwała do siebie w ciemności. Potem pogładził i połechtał ją ogonem nieżywej kuropatwy, dopóki się nie udobruchała.

„Nero, spróbuj ty“, powiedział.

Nero, to „tiercelet“ o ładnej maści — czarne pręgi prawie okalają jego oblicze — długoskrzydlny, z gładkimi, nieopierzonymi przegubami. Trzeciemu z rzędu ptakowi nie zamierzałem wcale przepuścić, to też gdy kuropatwa się zerwała, wypuściłem sokoła od razu. Wzbił się wprost ku prądowi wiatru — cudnym, prawie pionowym lotem — i wpadł na ofiarę, gdy wykonywując zwrot zawisła nieruchomo w powietrzu. Śmierć nastąpiła w przeciągu minuty, gdy bowiem doszliśmy do nich, Nero zaciskał w szponach nieżywego już ptaka. Jako dobrze ułożony sokół-gentleman, odrazu wrócił do ręki. Upłynęła godzina, zanim ruszyliśmy drugie stadko. Upolowaliśmy trzy sztuki — dwie były udziałem Attyli, jedna Nerona. Gospodarz nasz po dwakroć wypuszczał Xantypę. Pierwszy raz zawiodła, drugi odmówiła posłuszeństwa. Trzymał ją ciągle na ręce — a ona ciągle odkazywała po ciemku.

„Widocznie podrażniłem jej pióra i humor“, powiedziałem, co potwierdził gospodarz.

„Zdejmując kaptur musiałeś Pan szarpnąć za taśmy“, wytłómaczył — „i nadwerężyć cokolwiek jej oczy“.

Te samice są zwykle spokojne, lecz gdy raz zaczną grymasić, grymaszą jak dzieci.

Jak już nadmieniłem, łowy z sokołem nie nabawiają zwierzyny lęku. Ptaki, zające, króliki, wszystko to widzi w sokole tylko naturalnego nieprzyjaciela i one same przejmują się sportem; uznają, że to sport piękny, a przeniknione rycerskiem uczuciem, lecą i giną. W walce ptaka ze strzelbą, ptak nikczemnieje — jak człowiek w poemacie Meredith'a — i wobec nieuniknionego losu, traci odwagę. Bo czegoż innego może się spodziewać, gdy ziejesz nań śmiercią z dalekonośnej strzelby. Przy łowach ze sokołem ma nielada szanse — walczy z naturalnym wrogiem — i wytęża wszystkie siły i odwagę, by sprostać zadaniu. Sokolnictwo, w okolicy z dobrze utrzymywanym stanem zwierzyny, robi ptaki lepszymi i weselszymi.

W powrotnym pochodzie wzięliśmy jeszcze jedno stado kuropatw, lecz Xantypa była ciągle nastroszona. Minąwszy mały strumyk „Drouette“ weszliśmy na wzniesienie, gdzie gospodarz nasz wypuścił Xantypę na kuropatwę. Równocześnie rudawy pies ruszył zająca. Teraz pojąłem, że sokół był układany do wysokiego lotu, nie zaś przeciwnie. Teraz w przeciągu pięciu minut, — a natknęliśmy się na szalony wyścig — położyła kniaziącego zająca.

„Tak to zawsze z niewiastami“, powiedział gospodarz, lecz podejrzewam, że wciąż jeszcze czyni mnie odpowiedzialnym za złe zachowanie się Xantypy — tak, jakby jedna płeć mogła wogóle odpowiadać za sprawki płci odmiennej.

Tydzień polowania na niedźwiedzie
w nowogrodzkiej gubernii.

(Dokończenie.)

Sądząc, iż niedźwiedzica — poznaliśmy to bowiem na śniegu — daleko ujść nie mogła, zwłaszcza, że ją już ludzie widzieli idącą wolno, postanowiłem pójść za tropem. Puściliśmy się więc w sześciu, wolno przedzierając się przez gąszcze za obficie zabarwionym śladem. Za nami postępowała w pewnej odległości cała czereda chłopów, których od tego w żaden sposób nie można było odkłonić.

Po pewnym czasie, nie doszedłszy do ranionej sztuki i nie mogąc pozbyć się naszej eskorty, zmuszeni zostaliśmy pierwotnego planu zaniechać, a zapróbować pewniejszego soczenia. Rozdzieliliśmy się więc na dwie partye, pozostawiając nagonkę, a biorąc tylko dwóch przewodników.

Już spory kawał byliśmy uszli, gdy nagle uszu naszych doleciały krzyki ludzi i ujadanie psów na miejscu. Nie czekając puściliśmy się galopa gąszczami, odległość jednak nie była tak małą, jak się to nam początkowo zdawało; nim więc potrafiliśmy dotrzeć do rozsypanych po lesie ludzi — już się była niedźwiedzica oddaliła.

Opowiadali mi tylko, że zdybali ją leżącą pod wywrotem, gdy jednak psy na nią poszczuli, opuściła lego-

wisko, stawała kilkakrotnie dęba, szarżując na ludzi — i poszła.

Nie było mi co już dalej gonić, zwłaszcza, że forsowny bieg srodze był męczący; poleciłem więc Bolesławowi pójście za tropem, dobicie niedźwiedzicy, sam zaś zawróciwszy do koni, do wsi odjechałem.

Już dobrze ciemniało, gdy zmordowany Bolesław się zjawił. Niedźwiedzicy nie dogonił, przeszkadzali mu bowiem chłopi, od których opędzić się nie mógł, a którzy widocznie w jakimś dla nas niepojętym celu, krzykami zwierza odstraszali. Napotykał miejsca, gdzie się kładła, widocznie słaba, ale doszedłszy do granicy cudzego lasu, pogoni zaprzestał. Opowiedział mi przytem o strasznym wypadku, jaki się jednemu mużykowi wydarzył. Widząc leżącego niedźwiedzia pod drzewem, począł się z siekierą ostrożnie doń podkradać i tym sposobem dostał się w łapy zaczajonego widocznie zwierza. Okropnie pokaleczonego, z wyrwaną szczęką wraz z językiem i połamanemi żebrami, natychmiast do szpitala odesłać kazałem, nie można go było jednak uratować i biedak w kilka dni potem życie zakończył.

Nie było teraz czego dłużej czekać, obiecując więc nagrodę za znalezienie, lub dobicie ranionej sztuki, ruszyłem przez Tichwin do osady pana Lesieckiego, który mnie był dnia poprzedniego do siebie zaprosił. Nazajutrz spędziwszy dzień cały u państwa Lesieckich, dopiero pod wieczór pojechałem do Tichwina, gdzie zatrzymać się miałem w hoteliku, wcale porządnym „Pietierburskaja gostinnica“. O niedźwiedzicy wiadomości żadnych tam jednak nie zastałem. Korzystając z rady i uprzejmości pana leśniczego, postanowiłem raniutko wysłać na zwiady strzelca w towarzystwie rządowego obieszczyka.

Tymczasem zgłosiło się do mnie kilku kupców, ofiarując mi do czterdziestu niedźwiedzi.

Chcąc choć raz zapróbować polowania w barłogu, wybrałem pewnego, dużego niedźwiedzia znajdującego się o czterdzieści kilka wiorst tylko od Tichwina, w lesie rządowym koło wsi Iwanowskaja. Nazajutrz wyprawiwszy Bolesława, oddając mu na wszelki wypadek Piepera, sam z Mauserem wcześnie opuściłem Tichwin, mając jeszcze zajechać po pana leśniczego. Tam znakomite przekąski przygotowane przez gościnną panią domu trochę mnie zatrzymały, ale przy dobrych koniach i miłem towarzystwie, wydała mi się droga krótką i odłapaliśmy czas stracony. Kilka wiorst jechaliśmy wzdłuż plantu jeszcze nie wykończonej kolei, groźna zapowiedź przyszłego a szybkiego wytępienia całej grubej zwierzyny w tej okolicy.

W Iwanowskaja czekały małe saneczki, któremi też zaraz wjechaliśmy do lasu. Była pierwsza, gdy nam przyszło wysiąść i duktem pomaszerować ku niedźwiedziowi, nie dalej 150 sążni w bok linii spoczywającemu. Śnieg bardzo głęboki i trzeszczący utrudniał posuwanie się naprzód, doszliśmy jednak dość szybko do miejsca, skąd miałem zacząć podchodzenie. Uprosiwszy wprzódy przewodnika, aby mnie tylko na sztych nie doprowadzał do zwierza ale z boku, ruszyłem z bijącem sercem i gotowym Mauserem, przewodnik z moim kordelasem. Początkowo spieszyć się musiałem za szybko postępującym tropicielem, wkrótce jednak zwolnił kroku i szedł dalej rozglądając się ostrożnie.

Szedłem kilka kroków za nim. Po chwili zatrzymał się w dość gęstym młodniaku i stanął bez ruchu; zrozumiałem zaraz, że barłóg tuż. Jakoż podszedłszy bliżej, wskazał mi go ręką i ujrzałem leżącego niedźwiedzia na kroków kilkanaście.

Pomimo prośby doprowadził mnie prosto na sztych, a rosnące przed samym barłogiem drzewko uniemożliwiało mi prawie strzał. Niedźwiedź leżał z nadstawionemi uszami, a skóra na grzbiecie co chwila mu się jeżyła. Widział nas widocznie, ale czy obawa, czy też wrodzone lenistwo dość, że kryjówki swej nie opuszczał. Początkowo zdecydować się do strzału nie mogłem, obawiałem się bowiem, że dobrze całej głowy nie widząc i mając na dobitek tę sosenkę po drodze, kula z łatwością po czaszce obśliznąć się może. Naglony przez człowieka jednak, odważyłem się wreszcie, przyłożyłem biorąc jakby między oczy i pocisnąłem za cyngiel. Suchy trzask był jedynym skutkiem — sztucer nie wypalił. Pociemniało mi w oczach i ręce mi zadrżały, stałem bowiem już całkiem bezbronny. Niedźwiedź jednak szczęściem ani się nie ruszył i zamiast szarżować, przeciwnie bardziej jeszcze głowę spuścił. Cofnąłem się ostrożnie w gąszcz i tam o ile można najciszej, zmieniwszy ładunek podszedłem ponownie do barłogu cokolwiek jednak już z boku. Ruch ten zbliżył mnie do niedźwiedzia i w tej chwili znów ujrzałem groźny łeb wznoszący się w górę. Dopatrzyłem się teraz i oka i wyraźnie miejsca, gdzie trzeba było celować. Zmierzyłem się i tym razem nie zawiódł mnie poczciwy Mauserek. Rozległ się strzał krótki i cichy, niedźwiedź ani nie drgnął. Dostał kulę pod ucho i natychmiastowa śmierć nastąpiła. Znaleźliśmy go w tej samej wygodnej pozycyi, w jakiej widocznie od dawna spoczywał nawpół przysypany śniegiem. Zaraz nadbiegli ludzie poczęli go podnosić i wyciągać. Ujrzałem wtedy jego rozmiary i śliczne ciemno-kasztanowate połyskujące futro. Powiesiwszy go na grubej żerdzi ośmiu ludzi z trudem dźwignęło go i poniosło do sań. Ważył 380 funt.

Powróciwszy do Tichwina, tej samej nocy wybrałem się na czwartego i ostatniego, spieszyć się przytem musiałem, mając już nazajutrz wieczorem Tichwin opuścić i podążyć na kolej.

Długa droga mnie czekała, bo aż 108 wiorst w jedną stronę. Wybrałem tego niedźwiedzia, jednego z najdalszych, zapewniano bowiem, że jest całkiem biały; uważałem więc, że na taką rzadkość pomęczyć się trochę warto. Z tym jednak szczęście, dotychczas tak sprzyjające, zawiodło. Z powodu złego tropienia i rozstawienia ludzi, niedźwiedź pozostały poza obławą umknął bez przeszkody, z kwitkiem tedy powracać musiałem.

W Tichwinie zastałem Bolesława ze skórą niedźwiedzicy i ciekawemi wiadomościami z dwudniowej wyprawy. Tropiciele osoczywszy postrzałka już w cudzym lesie i sądząc że ponownie za niego dobrą cenę wezmą dopuścić go do barłogu nie chcieli, tymczasem chłop zachęcony obiecaną nagrodą zakradł się sam nocą i cichaczem skórę zdjąwszy, Bolesławowi ją oddał. Straciłem tym sposobem czaszkę, ale przynajmniej uratowałem futro.

Nazajutrz, wioząc ze sobą trofea w tak krótkim czasie zdobyte, wyjechaliśmy do Czudowa i Petersburga, gdzie niedźwiedzie oddałem w ręce znakomitego wypychacza, Popowa.

B. J. T.

W szuwarach.

Tam, gdzie mew białych nad wód lazurem
Zwija się chyżo flotyla
I skrzydeł wiosłem srebrzystopiórem
Toń w dyamenty rozpyla,

Gdzie zorza płynąc pod żaglem świtu,
Topi w mgłach sennych rubiny
I wjeżdża cicho w morze błękitu
I płoszy chmurek delfiny,

Gdzie zorza blada złote niewody,
Co z mgły porannej są tkane,
Zapuszcza cicho w jeziora wody
I łowi gwiazdy zaspane,

Złowione skarby wplata w swe skronie
I tak żagluje przez światy,
Coraz to silniej płonie i płonie,
I pieści fale i kwiaty,

Gdzie srebrna mewa marzy uśpiona,
Na liściu śniąc nenufaru,
Lilię - kochankę tuli do łona
Wsłuchaną w pacierz szuwaru;

Ja tam uciekam czasem od gwaru,
By cicho marząc, módz splatać
Czarowne wieńce z róż nenufaru,
By myśli - mewie dać latać!

Wtedy nic nie wiem o całym świecie,
Myśl goni lotem żórawi,
Lub cudnych wspomnień wiązanki plecie,
Lub mewą w kręgi się pławi!

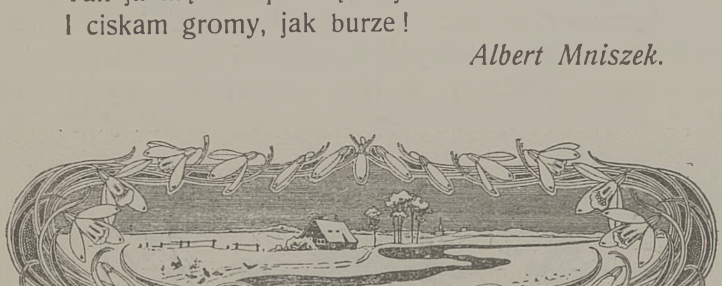
Już słońce zeszło z mgieł koralowych,
Już pali blaski w mej broni,
Łódź płoszy stada fal złotogłowych
I mknie wesoło po toni!

Wtem z oczeretu mrocznej ustroni,
Ptak się do lotu wyrywa!...
Grom wylatuje za nim z mej broni,
Setnem się echem rozbrzmiewa!

Runęły gmachy z cegieł marzenia
Stawiane, w tajniach szuwaru,
Strzał mój obudził świat z odrętwienia,
Staw brzmi od ptactwa rozgwaru!

A mnie świat cały nic nie obchodzi!...
Jak sokół buja w lazurze,
Tak ja tnę fale piersią mej łodzi
I ciskam gromy, jak burze!

Albert Mniszek.



Z obcych światów.

Przez pustynie Azyi.

(Dokończenie.)

29 sierpnia. Przez pagórki, osłaniające jezioro na wschodzie i przez rzekę wyszliśmy na szeroką dolinę, o twardym gruncie. Tu spotkaliśmy znów piękny okaz dzikiego osła, który zamiast uciekać, przystanął, strzygąc uszami i rozdymając nozdrza. Islam skorzystał z rzadkiej sposobności, strzelił kilka razy i trafił zwierzę w nogę. Osieł zaczął uciekać, a mimo ogromnego upływu krwi, pędził z początku tak szybko po dolinie, że ludzie moi nie mogli z nim się zrównać. Wreszcie osłabiony, upadł na ziemię, a Islam i Parpi związali go natychmiast. Był to wspaniały egzemplarz, tłusty, silny samiec, prawdopodobnie strażnik stadka, które niedawno przedtem widzieliśmy. Po zębach poznaliśmy, że mógł liczyć 9 lat. Wogóle przypomina dziki osieł muła, a stanowi przejście między koniem i osłem.

Uszy ma dłuższe niż koń, ale mniejsze od oślich; ogon podobny do ogona osła, tylko na dolnym końcu jest pokryty włosieniem. I grzywę ma taką jak osieł, prosto stojącą, o włosach długich na decymetr. Grzbiet ma brunatno-czerwony, podbrzusze białe, pysk szary, uszy ciemniejsze, jednak wewnątrz białe. Nogi jego przybierają od góry do dołu coraz barwniejsze ubarwienie, przechodzące w barwę białą. Brunatne oczy o wielkiej czarnej źrenicy mają ten sam kształt, co oczy konia lub osła. Szeroka pierś nadaje mu pozór rozrosły. Kark jest też muskularny. Mięśnie tylnych odnóż ma silnie rozwinięte, zdatne do szybkiego biegu, nozdrza więcej rozdęte niż koń. Narządy oddechowe są więc widocznie przeznaczone do wciągania rozrzedzonego powietrza. Nie bez słuszności nacinają zatem Persowie osłom swojskim, przeznaczonym do dźwigania ciężarów w górach, nieco nozdrza; doświadczenie nauczyło ich widać, że wówczas oddychają zwierzęta lżej.

Postrzelony przez Islama osieł mierzył prawie dwa i pół metra długości. Rana nie sprawiała mu, jak się zdaje, żadnego bólu, nie okazywał też najmniejszej obawy i pozwalał głaskać się po pysku. Gdym go już odrysował i zbadał, dobili go moi ludzie, poczem zdjęli ostrożnie skórę i rozpostarli ją na ziemi dla wysuszenia.

W dniu wypoczynku, 30 sierpnia wyspaliśmy się wszyscy gruntownie, a zwierzęta nasze pasły się po wzgórzach. Korzystając z wolniejszego czasu, uczyniłem wycieczkę ku wielkiemu jezioru, leżącemu na zachód od obozu. Laguny, łączące się z jeziorem, zawierają tyle soli, że ręce lepią się od ich wody. Nad brzegiem siedziało mnóstwo białych mew, zwanych przez mych ludzi „hangajtami“. Dno jeziora pokrywa miałki żwir i gruboziarnisty odtok z zielonego łupku, który spotykaliśmy tak często. Dwa metry ponad dzisiejszym stanem wód widać ślad brzegu. Nie mogłem atoli stwierdzić, czy powstał on skutkiem powodzi letnich, czy też utworzyły go fale, uderzające o brzeg. Że fale biją o wybrzeża silnie i wysoko, przekonaliśmy się naocznie sami.

Dnia 1-go września szliśmy początkowo po niskim grzbiecie górskim, o twardym gruncie, wybornym do marszu. Zielony łupek znikał powoli, a jego miejsce zajęły wielkie odłamy torfu. W oddali ukazywały się małe stadka

antylop, zwane przez Tybetańczyków orongami. Odznaczają się one długimi, cienkimi rogami w kształcie liry. Za górą nie brakło znów pięknej, gęstej trawy. Nazajutrz odkryliśmy, idąc wzdłuż gór, świeży łańcuch jezior; najciekawszem było jednak odkrycie, wskazujące, iż byli tu ludzie.

W jednem miejscu urwał się nagle południowy łańcuch gór, a powstałą stąd przerwę wypełniał kopulasty śniegiem pokryty szczyt, przez który, o ile się zdawało, prowadziła wygodna przełęcz. Gdyśmy zbliżali się do góry od strony południowej, podjechał do mnie Parpi i oświadczył, że poznaje to miejsce.

— Tędy szedł — mówił on — Bovolo Tura (pan Bonvalot) i książę orleański Henryk ze swoją karawaną.

Według moich obliczeń, nie mogło już być daleko do słynnej ekspedycyi francuskiej. Miałem przy sobie mapkę Bonvalota i sprawdzałem jak najdokładniej teren. Jeden z ludzi znalazł nadto kawałek białego filcu, jaki zwykle podkłada się wielbłądom pod pakunki. Pokazałem go Parpiemu, a ten zapewniał, że taki rodzaj filcu wyrabiają w Czarchliku, gdzie wstępowali po prowianty Francuzi. Przypomniał sobie także, że obozowali w tej okolicy, zanim przekroczyli przełęcz.

Przy czternastem jeziorze rozbiliśmy ośmnasty z rzędu obóz. Widzieliśmy z niego całą krainę szczytów i lodowców, a ludzie moi wyrażali obawę, że nam zamkną drogę. Zwierzęta miały się coraz gorzej. Jednego konia zostawiliśmy, trzy musiały bez pakunków iść razem z osłami, jeden był też bliskim końca. Ani wieczorem, ani w nocy nie dał znaku życia Parpi, tak, że zaczęliśmy obawiać się o los wielbłądów. Postanowiliśmy zatem odpoczywać przez trzeci września. Przed południem nadeszli maruderzy, ale pokazało się, że stracili jednego konia i jednego osła.

Wczesnym rankiem dojrzał Islam Baj yaka, który pasł się na przeciwległym brzegu jeziora. Uzbrojony w strzelbę, udał się ku niemu na koniu. Wrócił w południe i pochwalił się z pewną emfazą, że yak trafiony jest dwiema kulami w stos pacierzowy. Po obiedzie pojechałem w to miejsce, aby yaka wymierzyć i odrysować. Zabite zwierzę miało aż do ogona 1½ metra długości, włos barwy czarnej, chwost u ogona wspaniały, racice bardzo silne. W dolnej szczęce mieściło się 8 wystających siekaczy, w górnej były dziąsła rogowo stwardniałe. Język pokryty gęsto rogowemi brodawkami, służył do zrywania traw, mchów i porostów. Przypuszczając, że okolica obfituje w yaki, nie kazałem zdejmować skóry, lecz zaczekać, póki nie upolujemy okazalszej sztuki. Mimo tego odrąbali ludzie toporami najlepsze kawałki mięsa i wycięli cały język, który smakował mi później wybornie. Mięso natomiast było łykowate i twarde.

Wieczorem ujrzeliśmy potężnego byka, chodzącego samopas, który nie zwracał wcale uwagi na konie, pasące się w pobliżu. Islam, zapalony myśliwy, któremu oczy zaświeciły się na widok łatwej zdobyczy, podkradł się jak pantera pod wiatr i zaczął do zwierza strzelać. Yak upadł po trzeciej kuli, ale zerwał się natychmiast na nogi i rzucił się z wściekłością na atakującego. Dostał jeszcze jedną kulę, która go zmusiła do odwrotu, ale i do nowych zaczepek. Zginął dopiero po siódmej kuli. Islam wrócił z tryumfem do obozu i oświadczył, że trudno o wspanialszą skórę. Prosił też, ażebym pozwolił zdjąć ją przy pomocy kilku ludzi.

Nazajutrz ruszyliśmy zatem dalej. Islam pamiętał doskonale miejsce wśród pagórków, gdzie yak padł wczoraj. Proszę więc wyobrazić sobie jego i nasze zdziwienie, gdy nie znaleźliśmy tam zwierzęcia. Islam był tak zdumiony, że nie mógł przez chwilę wymówić ani słowa. Potem zaklinał się, iż yaka zabił. Tymczasem wskazywał wyraźny ślad, że mimo wielu ran, powlókł się yak dalej, padając co chwila. Daleko nie mógł jednak ujść. Jakoż po chwili ujrzeliśmy go, idąc śladami, leżącego spokojnie nad brzegiem źródełka. Gdyśmy doń zbliżyli się na odległość 100 kroków, odwrócił się i powstał, podnosząc wysoko głowę. Islam poczęstował go znów kulą, co doprowadziło go do takiej wściekłości, że rzucił się na nas. Musieliśmy uciekać, ale że konie płoszyły się, zmniejszyła się odległość między nami na 20 kroków. Na szczęście przystanął, toczył dziko oczyma, sapał, wyrzucał pyskiem i rogami piasek w górę nakształt chmury i bił naokoło siebie ogonem. Na 30 kroków otrzymał nowy postrzał, po którym obrócił się kilka razy w kółko. Joldasz rzucił się na niego, ale uciekł natychmiast, gdy rozwścieklony byk pochylił rogi i zaczął go ścigać. Dziesiąta kula ugodziła go w nogę, zaś jedenasta położyła kres jego cierpieniom. Upadł na prawy bok, chciał podnieść się, ale to nie udało się mu; zginął bez drgawek śmiertelnych.

Ułożywszy zwierzę w pozycyi naturalnej, odrysowałem je. Był to wspaniały okaz. Przednie zęby, starte aż do dziąseł, świadczyły o posuniętym wieku. Jeden z naszych Taglików, który brał udział w wielu polowaniach na yaki, liczył jego wiek na 20 lat.

Futro miał yak wspaniałe. Jednakowo gęste zwieszało się we frendzlach po obu bokach, chroniąc zwierzę dostatecznie od najtęższych mrozów. Sierć miała barwę czarną, tylko na bokach przechodziła przy pewnem oświetleniu w odcień ciemno-bronzowy. Język posiadał bardzo ostre, rogowo-stwardniałe brodawki. Nadzwyczaj silne rogi są straszną bronią z powodu zaostrzonych końców. Ogon zabitego zwierza był ogromny, racice silnie rozwinięte. Łatwo zrozumieć, ile zwierzę takie waży. Samo podniesienie głowy kosztowało nas nie mało fatygi, a czterech ludzi, zdołało zaledwie umieścić zdjętą skórę na wielbłądzie.

Dziwnem doprawdy jest, jak może tak potężne zwierzę wyżywić się szczupłą paszą wyżyn tybetańskich, paszą gorżką i twardą, którą nasze zwierzęta juczne jadły tylko z musu. Ścigany yak ucieka szybko, z obwisłym ogonem i pochyloną głową. Choć bieg ma ociężały, robi duże kroki. Nadto nie brakło mu nigdy oddechu, co może łatwo przytrafić się jego prześladowcom wobec rozrzedzonego powietrza. Taglikowie opowiadali, ze w Czerczenie, Czarchliku i Aczanie są myśliwi, żyjący wyłącznie z polowania na yaki. Zazwyczaj wybierają się na nie we dwóch, by w razie potrzeby wzajemnie się wspomagać. Mają oni tak zręcznie strzelać, że kładą nierzadko yaka trupem po pierwszym strzale, skierowanym w serce. Strzelają z odległości 60 kroków. Strzał, dany w okolicę miednicy, zabija zwierzę po dwóch lub trzech dniach. Nie na wiele przyda się mierzenie w głowę, bo kula nie zdoła przebić kości. Dostawszy kulą w czoło, potrząsa tylko yak głową, parskając. Choć to jest okrucieństwem, ma strzał wycelowany w nogę tę zaletę, że pozwala strzelcowi przyjść do drugiego strzału, lub łatwo ujść, gdy zwierzę go ściga. Strzelby, używane przez Taglików, bywają wyrabiane w miastach wschodniego Turkiestanu. Są to długie, ciężkie flinty, nabijane z przodu, o zamku skałkowym i widełkach do podpierania. Z bronią na ramieniu czołgają się myśliwi po ziemi, kryjąc się w najmniejszych nierównościach gruntu. Zbliżywszy się

do zwierzęcia na odległość strzału, opierają strzelbę o widełki i mierzą z zimną krwią, zanim dadzą ognia.

Gdy zwierzę padnie, zdzierają z niego natychmiast skórę i krają na trzy części. Część grzbietowa daje najlepszą skórę, używaną na siodła, rzemienie, biczyska i na lepsze buty. Skóra ze strony brzusznej jest nieco gorszą, zaś skóra z odnóży służy na wyrób t. zw. czuruków, czyli miękkich butów, jakie noszą zwykle Taglikowie. Ogon idzie na ofiarę do mazaru. We wspomnianych powyżej miastach zakupują kupcy z Chotanu skóry, które cenią dość wysoko z powodu wielkiej wytrzymałości. Za skórę dorosłego byka dostaje strzelec około 9 rubli. Nie pocięte na kawałki skóry są tak ciężkie, że jeden osieł nie zdoła ich udźwignąć. Taglikowie uważają polowanie na yaki za niebezpieczne rzemiosło, chodzą zatem na nie gromadnie. Proszę tylko wyobrazić sobie położenie myśliwego, gdy zwierzę rozwścieczone rzuca się na niego, a on niema czasu nabić powtórnie strzelby, lub w porę ratować się ucieczką. Jeśli dostanie się pod olbrzymię cielsko i ostre rogi yaka, musi zginąć niechybnie.

Tyle mogę powiedzieć o królu zwierząt, żyjących w pustyniach Tybetu, na podstawie własnych doświadczeń. Budzi ono podziw nietylko swą imponującą postacią, ale i dlatego, że jest jedynem ze wszystkich śmiertelnych istot, które opiera się skutecznie znanym wysokościom terenu, najsroższemu klimatowi i najsilniejszym zamieciom śnieżnym. Dziki yak jest obojętnym na to wszystko, ba, nawet cieszy się, gdy grad przetrzepie mu skórę, pokrytą grubym włosem. Pasie się też spokojnie, gdy go zamieć śnieżna spowije w białe chmury. Nie przypada mu do gustu tylko słońce. Gdy jest za wielki upał, bierze kąpiel w najbliższym potoku, lub idzie w góry ku lodowcom i ożywczym niwom wiecznego śniegu. Tu tarza się do syta w drobnym, jak pył, śniegu, a nawet kładzie na spoczynek.



KRONIKA.

„Aus Podhorodce bei Schodnica, Galizien“. Pod takim tytułem spotykamy często w czasopismach łowieckich niemieckich korespondencye, podpisane: „Oberförster Biberstein-Błoński“. Doprawdy, ubolewać należy — by Polak, na polskiej ziemi i z polskiej ziemi żyjący, pisywał do niemieckich czasopism, a natomiast nigdy nie dał się słyszeć w *„Łowcu“*. Przecież mamy prawo żądać, byśmy pierwej o polowaniach odbytych u nas wiedzieć mogli, aniżeli Niemcy, których to pewnie i nie bardzo obchodzi. Jeżeliby nawet ten Pan po polsku pisać nie umiał, to chętnie i z wdzięcznością przyjmiemy jego niemiecką korespondencyę, którą przetłumaczywszy, umieścimy w naszem piśmie. *Redakcya.*

Skuteczna trucizna na wrony. A. Dietrich korespondent „Deutsche Jäger-Zeitung“ podaje receptę następującą:

Wziąć 25 gm. białego fosforu i rozpuścić go w 300 gm. gliceryny. Łyżka stołowa tej mieszaniny wystarcza, by zatruć 14 funtów mięsa. Drobno posiekane mięso, dobrze z trucizną wymieszane kłaść w stare skorupy jaj i porozkładać, gdzie wrony lubią siadać. Ponieważ wiadomą jest rzeczą, że na wiosnę wrony szukają za jajami dzikich kaczek, dobrze jest kłaść te skorupy z zatrutem mięsem nad brzegami stawów i jezior.

Korespondent zaręcza, że rzecz tę sam wypróbował i struł w ten sposób 30 wron w dwóch dniach.

Rzadka zdobycz. Niedawno pewien myśliwy zastrzelił koło Brunn pod Wiedniem drapieżnego ptaka, wielkości jastrzębia, ciemno upierzonego i robiącego wrażenie ptaka zupełnie egzotycznego.

Myśliwy zwrócił się z zapytaniem w tej sprawie do naturalno-historycznego muzeum w Wiedniu i dowiedział się, że ptak przez niego zabity jest „Chimango“ (Südamerikanischer Schreibusard).

Zdarza się czasem, że ptaki północno-amerykańskie zalatują do Anglii, ale jakim sposobem mógł się znaleźć pod Wiedniem ptak z drugiej i południowej półkuli — to pytanie, na które żaden ornitolog odpowiedzieć nie umie.

Na polu chwały. Najnowsza powieść Henryka Sienkiewicza zaczyna się wspaniałą sceną walki dzików z wilkami wśród lasów. „Zbitą kupę dzików, tak brzmi dosłownie ten ustęp, otaczał ruchliwy wieniec wilków. Straszliwe rechtanie, w którem nie było trwogi, ale wściekłość, rozlegało się coraz potężniej. Wilki nie śmiały jeszcze rzucić się na stado, naciskały je tylko coraz mocniej. Dziki ustawiły się w okrągłą kupę, jarczaki w środku, tęgie sztuki na obwodzie, tworząc jakby ruchomą fortecę, groźną, połyskującą białymi kłami, nie przełamaną i nieustraszoną. To też między wieńcem wilków a ową ścianą kłów i ryjów widać było białe śnieżne kolisko, oświecone jak i cała polana jasnem światłem księżyca. Niektóre tylko wilki doskakiwały do stada, ale wnet cofały się, jakby przerażone kłapaniem szabel i jeszcze groźniejszymi wybuchami rechtania“...

Ptactwo błotne we Włoszech. Mało kto u nas wie o tem, że we Włoszech są tereny, na których z świetnym rezultatem polować można na kszyki. Pewien korespondent dziennika „La chasse illustrée“ pisze do tego dziennika z Pizy, że w pobliżu tego miasta jest dużo mokrych łąk, na których przez całą zimę t. j. od listopada do kwietnia przebywają kszyki, a jest ich taka ilość, że łatwo jest w jednym sezonie zabić 1000 tych ptaków. Jednego dnia zeszłej zimy zabił jeden z przyjaciół korespondenta 150 a zwykły mierny strzelec z łatwością 30 do 40 ich zabić potrafi. Polują na nie z psami i takiego, który kszyki wystawia, nazywają „beccaccinaio“. Pies, zasługujący na tę nazwę ma już przez to samo jakoby dyplom doskonałości i jest przez myśliwych wysoko ceniony.

Drapieżność łasicy. Ciekawą rzecz w tym względzie opisuje pewien leśniczy: 4-go czerwca b. r. wybrałem się do lasu w towarzystwie mego wyżła, by kilka kupek chróstu oszacować. Przy jednej z nich pies zachowaniem swojem zwrócił moją uwagę, że tam pod chróstem coś siedzieć musi; kazałem gałęzie rozrzucić i zastałem tam całą rodzinę łasicy-gronostaj (Mustela erminea), złożoną z 2 starych i 6 młodych, które były już prawie także zupełnie dojrzałe. Jedną ze starych zastrzeliłem, druga uciekła a wszystkie młode pies wydusił. W gnieździe znaleźliśmy kości przynajmniej z trzech młodych zajęcy, pióra z kuropatw i rozmaitych ptaków śpiewających, mnóstwo skorup z jaj a między temi jeszcze jedno całe jajo kuropatwie.

Nowe książki.

„Przewodnik dla myśliwych" p. Stanisława Rewieńskiego. Warszawa 1903.

Dziełko, zasługujące ze wszech miar na uwagę. Autor przedstawia nam przedewszystkiem historyczny rozwój łowiectwa od czasów najdawniejszych do dzisiaj. W następnych rozdziałach pisze autor o ekonomicznem i społecznem znaczeniu łowiectwa. Rrecz traktuje zwięźle i bardzo logicznie. Słabem miejscem tego dzieła jest rozdział, traktujący o broni myśliwskiej. Autor przedstawia nam historycznie rozwój takowej, począwszy od maczugi, w jaką się zbroił człowiek pierwotny a kończy na broni używanej przez nas od jakich 30 lat. Nie wspomina jednak nic o broni najnowszej, śrótowej, która przez zastosowanie do niej rozmaitych gatunków stali i zaprowadzenia najrozmaitszych zmian w budowie luf, bardzo się w ostatnim lat dziesiątku zreformowała, jak również nie można znaleść w tym rozdziale wzmianki o nowoczesnej broni kulowej. W ogóle autor nie traktuje tego rozdziału, któryby był może najciekawszym z całego dzieła, ani fachowo, ani praktycznie, a wdaje się w czysto akademiczne rozprawy nad teoryą gorzenia starego, strzelniczego prochu, która to sprawa mało nas dzisiaj obchodzić może.

Następuje teraz rozdział, bardzo interesująco i wyczerpująco napisany, o sposobach polowań na niedźwiedzie, dziki i inne zwierzęta łowne, ciekawym jest również rozdział, poświęcony ptakom naszym łownym i psom myśliwskim. Rozdziały ostatnie traktują o rozmaitych szkodnikach i wrogach zwierzyny i podają bardzo ciekawe sposoby tępienia tychże, jak również ciekawe stare recepty, na trucizny, służące do wygubiania wilków, lisów i innych drapieżników.

Dziełko to, aczkolwiek na czytelniku-myśliwym robi wrażenie, że ujrzało światło dzienne przed laty najmniej 10-ciu, a nie w roku zeszłym, jest jednak z wszech miar godnem uwagi, posiada wiele przymiotów, podaje wiele rad praktycznych i nie powinnoby go brakować w żadnej podręcznej myśliwskiej biblioteczce.

„Hodowca i myśliwy" przez hr. Silva Tarouca. Sławne to i znane już dzieło zostało przetłumaczone niedawno na język polski i wydane w Warszawie nakładem Redakcyi „Łowca polskiego". *A. M.*



Drobne ogłoszenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**